Rok IV. Kraków, 19 października 1902. Nr. 10.

NIEWIASTA POLSKA

Wychodzi w każdą trzecią niedzielę miesiąca.

Kosztuje w Austryi: rocznie 40 cnt., półrocznie 20 cnt.

W Niemczech: rocznie 1 marka, półrocznie 50 fen.

Numer pojedyńczy 4 ct.

Administracya pisma: **Kraków, ul. Mikołajska Nr. 30.**

Wszelkie przesyłki i listy pieniężne prosimy adresować:

H. Dziewicka, w Krakowie, ulica Mikołajska Nr. 30.

Numera pojedyńcze „Niewiasty polskiej“ nabywać można w Krakowie u Wydawcy: ulica Mikołajska l. 30, I. piętro.

Prenumeratę można przesyłać w znaczkach pocztowych.

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!



Św. Franciszek Seraficki.

Święty Franciszek pochodził z miasta włoskiego Assyżu, gdzie ojciec jego Piotr Bernardyn był bogatym kupcem. Ukończywszy szkoły, poświęcił się zawodowi kupieckiemu. Jednej nocy ukazał mu P. Bóg we śnie wielki i piękny pałac i objaśnił mu, że on pełen zbroi rycerskiej i ma być jego i jego żołnierzy własnością. Myśląc, że Bóg powołuje go do służby żołnierskiej, wybrał się do jednego hrabiego do Apulii, lecz usłyszał w drodze: Franciszku, kto tobie lepiej może służbę nagrodzić, pan czyli sługa, ubogi czyli bogaty? Wróć-że się, a to coś widział, duchownie rozumiej! I poznał, że ma być żołnierzem nie hrabiego, lecz Chrystusa.

Odbywszy pielgrzymkę do Rzymu usłyszał na modlitwie w kościółku św. Damiana w Assyżu głos: Franciszku, idź, a naprawuj

mój dom, który się, jako widzisz, wali. Myśląc, że chodzi o odnowienie walącego się tego kościółka sprzedał sukno i konia swego ojca, a pieniądze otrzymane wrzucił przez okno kapłanowi przy tym kościele. Ojciec kazał go za to obić rózgami i do więzienia wsadzić. Wobec biskupa wyrzekł się mienia ojcowskiego i w kmiecej sukmanie udał się na puszczę, skąd wróciwszy, zdjął obuwie, przepasał się powrozem i puścił się na nauczanie i wzywanie ludzi do poprawy życia i pokuty. Naukę swą popierał wzorem własnego życia, w którem celowały pokora, posłuszeństwo, ubóstwo, umartwienie. Dla uczniów swoich napisał regułę zatwierdzoną przez Innocentego III, a osiadłszy przy kościele N. P. Anielskiej dał początek zakonom św. Franciszka. Już za jego życia na kapitułę zakonną do Assyżu zjechało się 5.000 braci.

Reguły jego nie chciał Papież zatwierdzić, zatwierdził ją dopiero zobaczywszy w objawieniu, że chylący się kościół lateraneński podpiera jeden człowiek ubogi.

Dwa lata przed śmiercią udał się na puszczę na górę Alwernii. Tam oddanemu rozważaniu gorzkiej męki i śmierci Pana naszego Jezusa Chrystusa ukazał się sam Ukrzyżowany, który dziwnie rozpalił miłością jego serce i na ciele dziwne znaki zostawił, bo na wzór Chrystusowych otworzyły mu się rany w rękach, w nogach i w boku. Tak wynagrodził Bóg święty i pełen heroicznych cnót żywot św. Franciszka. Widząc blizko kres życia kazał się zanieść do N. M. P. Anielskiej, gdzie leżąc na gołej ziemi, zachęcał braci do miłości Boga, cierpliwości i ubóstwa, a błogosławiąc im mocą Ukrzyżowanego mówił: Zostańcie synowie w bojaźni Bożej, a trwajcie w niej zawdy, a iż wielkie prześladowanie nastanie, błogosławiony, który wytrwa do końca; ja się do Boga kwapię, któremu was polecam. Umarł w r. 1226.

Nadzwyczajna ostrość życia przy wielkiej świętobliwości i rzadkiej czystości obyczajów, mężne zaprzanie samego siebie i heroiczne wyrzeczenie się wszystkiego, co tylko światu drogie i miłe, są to cnoty św. Franciszka, które Kościół Chrystusowy po wsze wieki zdobić, które świat po wszystkie czasy zadziwiać będą.

Ks. St. N.

O wychowaniu dzieci.

4. Rodzina i szkoła.

Wychowanie młodych pokoleń rzecz to bardzo ważna a nader mozolna i ze wszystkich sztuk najtrudniejsza. Nie każdy ojciec, matka umie i może temu podołać, dlatego słusznie, że szkoła przychodzi im z pomocą. Szkoła tedy wychowuje dziatwę w zastępstwie i w imieniu rodziców, uzupełniając to, czego ojcowie nie potrafią, lub nie mogą dla niej uczynić. Rodzice zatem winni otoczyć tę szkołę opieką i z nią współdziałać, co czynią — gdy regularnie posyłają dzieci na naukę, gdy mają staranie o książki i wszelkie przybory dla nich, a nadto ich jest obowiązkiem interesować się tak postępami dzieci, jak całą nauką szkolną, a zastępców swych nauczycieli otaczać należnym szacunkiem i opieką.

Jednakże naodwrót, z tej samej przyczyny, że szkoła jedynie zastępuje i wyręcza rodziców, ojcowie mają prawo, a nawet jest ich świętym obowiązkiem baczyć na to i domagać się, by szkoła szła ręka w rękę z rodziną, by wychowywała młodzież wedle słusznych praw i życzeń rodzicielskich.

Przedewszystkiem wszyscy ojcowie i matki mają prawo a nawet obowiązek żądać, by szkoła wychowywała ich dzieci religijnie, bo bez jakiejkolwiek religi niema wychowania — tak wychowują się pieski i cielątka; rodzice zaś katoliccy słusznie domagać muszą by szkoła wychowywała ich dziatwę w religii katolickiej.

I raczej lepiej, żeby żadnej nie było szkoły, niżeliby była, ale bez Boga. Kościół katolicki surowo, pod grzechem, a niekiedy nawet pod klątwą zabrania — rodzicom katolikom posyłać dzieci do takiej szkoły, gdzieby poniosły uszczerbek na wierze, i, choćby prawa świeckie karami ich zmuszały, nie wolno im tego czynić.

I dlatego to takie prawa świeckie, które zmuszają rodziców do korzystania ze szkoły, zawsze są niesprawiedliwe a bardzo często zgubne, dla rodziców, a bardziej jeszcze dla ich dzieci.

Wychowanie dzieci należy i ciąży głównie na rodzicach, a władza świecka niema żadnego prawa wydzierać rodzinom tego przywileju a tem mniej może ich zmuszać, by do tej lub owej szkoły dzieci swe posyłali.

Nie pomoże tu wymówka, że państwo, gdy takie prawa wydaje

czyni dobrze, bo zmusza opieszałych ojców, by swe dzieci kształcili. Na to jest łatwa odpowiedź: co potrzebniejsze, chleb, ubranie czy nauka? A jeśli władza świecka tak bardzo troskliwa jest o dzieci swych poddanych, to czemuż nie stara się także, aby każde dziecko miało co jeść i w czem chodzić? przecież to potrzebniejsze, niż sama nauka!

Dobra jest taka ustawa dla opieszałych ojców, ale tylko wtedy, jeśli szkoły nie pozbyły się Boga, jeżeli zaś w szkołach niema religii, a dziatwę wychowuje się na bydełko, taki przymus do szkoły jest zgubny i wysoce niesprawiedliwy, bo zmusza rodziców do tego, czego robić nie powinni i nie mogą.

Jedynie taka ustawa jest sprawiedliwa i prawdziwie mądra, która pozostawia rodzicom wolność, że mogą korzystać ze szkoły lub też w domu uczyć, że mogą do tej lub owej szkoły publicznej czy też prywatnej swe dzieci posyłać.

U nas w naszym kraju, jest również taki przymus szkolny, to znaczy: prawo zmusza rodziców, by dzieci do szkoły posyłali, jednakże nie przynosi on u nas szkody, jak to się dzieje w innych krajach i nie gwałci sumień katolickich rodziców, bo nasze szkoły, a zwłaszcza ludowe, nie są bez Boga, jak to n. p. we Francyi, owszem u nas sama ustawa szkolna mówi i żąda, by szkoły wychowywały dziatwę religijnie. I rzeczywiście nasze szkoły chcą i pragną prowadzić młodzież drogą religii i o tyle idą w myśl żądań rodziców.

Jednakże dla katolików taka ustawa i takie szkoły, które religijnie tylko chcą młodzież wychować, nie są dostateczne, bo czynią za mało dla naszej religi. Nie wystarczy wychowywać religijnie tylko, bo i Żyd i Turek czy Moskal, każdy z nich ma także swoją religię i według swej religii chce, by jego dzieci wychowywano, a katolicy mają prawo i muszą domagać się, by ich dzieci, jako katolickie, wychowywano po katolicku, to znaczy, wedle praw i praktyk religii katolickiej. Żyd, Turek, Moskal ma prawo do swojej, a katolicy również do swojej religii.

I takie szkoły, w których się wychowuje młodzież każda wedle swej religii nazywają się w y z n a n i o w e m i. Nasze szkoły, choć się religii wcale nie wyrzekają, nie są jednak wyznaniowemi, bo nie wychowują ściśle według tej lub owej religii, ale wogóle według religii tak, że żyd, luter, kalwin i katolik wszyscy razem, jedna dla nich szkoła, jedna nauka, jeden nauczyciel, który także może być

sobie żydem, lub lutrem. Każdy widzi, że z tego dobrze być nie może, gdy n. p. żydki razem chodzą, razem siedzą i razem się uczą w jednej sali z dziećmi katolickiemi, ile to serc katolickich chłopców i dziewcząt zatruli ich szkolni towarzysze od Mojżesza?!

W gimnazyach n. p. to nawet modlitwy przed i po nauce są takie, że je odmawiać może zarówno katolik, jak Żyd czy Turek, nie mówi się »Ojcze nasz« lub »Zdrowaś«, lecz jakąś modlitwę: »Ojcze niebieski«, w której żadnej niema wzmianki o Jezusie lub Matce Boskiej, a to wszystko dlatego, żeby takie wyrazy nie obrażały uszu naszych braci po Mojżeszu!

Z tego więc względu szkoły nasze nie odpowiadają zupełnie żądaniom katolickich rodziców i dlatego też coraz głośniej słychać wołania o szkoły wyznaniowe.

Jeżeli zaś taki rozdział szkół trudny i daleko nam jeszcze do niego, to już z całą słusznością mogą i powinni rodzice katoliccy domagać się od swoich posłów takiej ustawy, aby dzieci katolickie tylko katoliccy nauczyciele uczyli, a niestety u nas tak nie jest — w szkołach bowiem naszych mogą być, i rzeczywiście są, nauczyciele żydzi i lutrzy. I nie myślcie, wy matki i ojcowie, że to się dzieje na uniwersytetach, albo w gimnazyach, owszem nawet w szkołach ludowych byli, a nawet są nauczycielami żydzi i to nie dla żydowskich, ale dla katolickich dzieci.

Pojmujecie zatem, jaki to przykład, jakie to sponiewieranie naszej religii, gdy taki żydziak lub żydowica nauczycielka uczy i mówi katolicki pacierz z dziećmi katolickiemi, gdy im objaśnia i tłumaczy słowa »Jezus«, »Marya« albo obrazy świętych!

Trudno się tedy dziwić, ale raczej pochwalić trzeba, co opowiadają, że w jednej wiosce, skoro się chłopi dowiedzieli, iż za nauczycielkę ma przyjechać do nich żydówka, w nocy przed jej przyjazdem rozebrali szkołę do ostatniego drzewa — pewnie, że lepiej żadnej nie mieć szkoły, żadnej nauki, niż taką żydowską!

Dzieci katolickie powinny i muszą — jeśli mają być dobrymi katolikami, pobierać naukę od nauczycieli katolików i według praw religii katolickiej. *A. W.*

Aniołom swoim każe cię pilnować.

(Dokończenie).

— Dziwna spuścizna — mówił dalej proboszcz — którą zostawił wędrowiec przewodnikowi Antoniemu, iścić się poczęła. Corocznie, koło Świąt Bożego Narodzenia, przychodziło na niego jakieś jasnowidzenie. Widział wtedy rzeczy dalekie i skryte, poznawał choroby, nawet duszne uciski i trudności rozumiał. Jednemu pomógł odnaleźć bydlę zbłąkane, innemu zawiłą sprawę rozplątał, nie jednych rodziców stroskanych pocieszył, nie jedno stadło pogodził: sława jego po za rodzinną wioskę doszła i z daleka ludzie pomocy jego szukali. On nikomu nigdy nie odmówił, z wielką prostotą tym darem, jako nie swoją rzeczą, rozporządzał, a przenigdy nagrody żadnej nie przyjął, co najwięcej odesłał do mnie tych, którym dopomógł, aby na moje ręce jałmużnę dla biednych lub na kościół złożyli.

— Cztery miesiące temu, jak ten zacny człowiek umarł po chrześcijańsku, zostawiwszy po sobie żal i biedowanie w całej okolicy.

Tu ksiądz skończył opowiadanie, któremu obaj podróżni z wielkim zajęciem, ale Anglik z większym jeszcze smutkiem się przysłuchiwał.

— Skoro Pan Bóg — rzekł po namyśle — i tej pomocy mnie pozbawia, jakże mi radzisz księże proboszczu, mamże do synów Antoniego się udać?

— Czemu nie, łaskawy Panie? wszak na próbie tej nic nie stracisz, a za uczciwość ich, ja ręczę.

— Gdzież ich znajdę — zapytał Anglik.

— Zapewne w gospodzie, gdzie ten i ów wieczorem zagląda.

Proboszcz kazał obcych panów do gospody zaprowadzić. Gospody takie szwajcarskie albo tyrolskie, nie są w niczem do naszych karczem podobne. Czyste, wesołe, zwykle przez poważnego gospodarza utrzymywane. Wódki ani araku tam nie dostaniesz, co najwyżej wino krajowe i piwo, ale głównie strawę prostą, porządną i tanią. W koło ognia schodzą się gospodarze, aby o sprawach gminnych, o jakich wspólnych zakupnach lub interesach pogadać, nierzadko i różaniec razem odmówią, i rozchodzą się wcześnie do domów.

Taką kompanię zastawszy obcy panowie, pozdrowili uprzejmie i zapytali o synów Antoniego przewodnika.

— Tylko co ich nie widać — odrzekł gospodarz — mieli się z drugimi o jakiejś wycieczce naradzić.

Jakoż po chwili weszli dwaj rośli górale, młodzi a krzepcy, jak dębczaki, o jasnym poczciwym wyrazie twarzy. Za nimi para psów góralskich, dużych, kudłatych, z oczami mądremi, jak gdyby przemówić niemi chciały. Anglik zbliżywszy się do nich i powitawszy, powiedział, co go tu sprowadza, jaka go ciężka przygoda spotkała, jak przyszedł u ojca ich szukać ratunku, z jaką rozpaczą dowiedział się, że nie żyje.

Młodzieńcy wysłuchali opowieści, sami niejedno trafne zadali pytanie, wreszcie spojrzawszy na brata, starszy odpowiedział:

— Mój panie, trzebaby osobliwej łaski Pana Boga, aby dziecko w takich warunkach się odnalazło i do tego żywe; wszelako te sny, o których pan wspominałeś, ta prośba dziecka o ratunek, już są jak gdyby wskazówką, że Pan Bóg chce okazać moc swoją, że pomoc Jego niedaleka. Chcecie panowie, to wysłuchamy jutro mszy św. w tej intencyi, a potem ruszymy w drogę. Tu się pożegnali i rozeszli.

Podróżnym dano w gospodzie nocleg w izbie gościnnej, schludnej, choć nie bogatej, ale zasnąć prawie nie mogli; biednego ojca dręczył niepokój w obec tej ostatecznej próby, która o losie dziecka rozstrzygnąć miała, a towarzysza jego budziło współczucie i ciekawość, jak się zakończy cała ta sprawa taka niepodobna do wiary. Księżyc wysoko jeszcze stał na niebie, kiedy młodzi górale przyszli zbudzić podróżnych. W dolinie mróz był mierny, jednakże śnieg chrupał pod nogami, a na śniegu odbijały się światła z chat i ognisk. Lud pracowity wcześnie tam wstaje, a kto mógł spieszył do kościoła i pobożnie, na klęczkach mszy św. słuchał. Młodzi przewodnicy polecali Panu Bogu siebie i swoje przedsiewzięcie, smutny ojciec, bez słów, prosił i błagał o zmiłowanie Boże. W gospodzie podano im chleba, sera i grzanego piwa i ruszono w drogę. Anglik wiedział jak i którędy szedł w on dzień nieszczęśliwy, a miał też z sobą na każdy wypadek ubrańko, które chłopczyk w przed dzień miał na sobie, górale wziąwszy je od niego, pokazali psom swoim, które im towarzyszyły.

Psy zwęszyły ubranie, spojrzały panom swoim w oczy i jakgdyby w powietrzu czegoś szukały, jak gdyby wietrzyły coś podo-

bnego. Starszy góral zagwizdał na piszczałce głosem dziwnym, posępnym, psy wietrzyły długo w różnych kierunkach, szły, powracały, jakby tropu właściwego uchwycić nie mogły. Krążenie takie trwało czas dłuższy, młodzieńcy i podróżni zataczali koła, niby przypadkowe, ale zdawało się, że okrążają i zbliżają się po trochu do jakiegoś środka niewidzialnego. Wreszcie psy znikły im z oczu. Górale wciąż, to wdrapywali się na skały, to spuszczali w parowy, jak gdyby widzieli cel, do którego dążą; krótki dzień zimowy, krótszy jeszcze w górach, już się miał ku zachodowi, kiedy jeden z górali przyłożywszy ucho do ziemi, usłyszał skowyt psa. Natychmiast wstawszy, gwizdnął tym samym co wprzódy tonem, w odpowiedzi dały się usłyszeć dalekie, i jak gdyby radosne ujadania psów: wszystkim serca zabiły. Odtąd już przewodnicy szli jak gdyby na pewno. Ale przyszła chwila, że iść dalej nie było można, skała była tak przepaścista, jak często w górach bywa, że jak ściana spuszczała się w parów głęboki. Starszy góral podał młodszemu linę, którą ten się okręcił, i po której powoli spuszczał się na dół, tam skąd wciąż dochodziło wesołe granie i skomlenie psów. Po chwili młody góral gwizdnął, był to znak umówiony — wszyscy padli na kolana, a biedny ojciec przypadł twarzą do ziemi.

— Nie może być — zawołał starszy góral, aby tu innego zejścia nie było — jakoż okrążywszy skałę, trafił na łożysko potoku; tą drogą, choć stromą i niebezpieczną, zeszli w dolinkę taką zakrytą, taką zaciszną, że wśród zimy zielona murawa nawet śniegiem nie była przysypana. W wydrążeniu skały, która tworzyła jakby małą jaskinkę, siedział młody góral, trzymając dziecko na kolanie, a u stóp jego leżały dzielne psy, dzieląc jakoby radość tej chwili. Ale co działo się znękanemu długim bólem ojcu, kiedy dziecko ujrzawszy go, rzuciło mu się na szyję, wołając na głos:

— Tato, tato.

Był to jak gdyby cud w cudzie, że dziecko oniemiałe od tylu miesięcy, ludzkiem głosem się odezwało. Czy ta zmiana przyszła po trochu, czy wzruszenie również silne temu, które mu głos odebrało, teraz go przywróciło, tego już dziecko powiedzieć nie umiało. Ale jak przeżyło, czem w tej pustyni życie utrzymało — na to pytanie odpowiedział chłopczyk po prostu, że żył chlebem; trochę, prawda, z jesieni leśnemi owocami, orzechami, które znajdował i zjadał.

— Ale któż tobie chleb przynosił?

— Pies, taki jak oto te, w pysku duży kawał chleba przynosił

i kładł przedemną. Ja myślałem, że to ty tato, ten chleb mi przysyłasz. Ale mój pies pewno tu wnet będzie.

Zdawało się obecnym, że dziecko bredzi, gdy za chwilę duży pies kudłaty zmoczony, jak gdyby z wody wychodził, grubą kromkę chleba niosąc w pysku, przybiegł i, ujadając wesoło, przed chłopczykiem położył.

— Mój panie kochany, — rzekł z powagą młody góral — Pan Bóg widocznie i cudownie prowadził sam tę sprawę, sam się dzieckiem waszem opiekował. Ja tego psa znam, pochodzi on od zakonników, którzy nie bardzo stąd daleko klasztór swój mają. Ale od nich ku tej dolinie płynie bystra rzeka, jakżeż być może, aby pies dziecko wietrzył, aby codziennie drogę tę odbył i rzekę przepłynął? Musiał chyba Anioł-Stróż dziecka, sam mu drogę wskazywać.

— Chcę dziś jeszcze być w tym klasztorze, — rzekł zdumiony ojciec — chcę wszystkie szczegóły wybawienia dziecka mego zebrać i poznać.

— Dziś, panie, powrócimy do domu — rzekł góral, patrząc na dalekie odblaski zachodu na niebie. — Jutro was zaprowadzimy.

Podróżni, późnym zmrokiem wróciwszy, zastali gospodę pełną, cała wieś oczekiwała skutku dziwnej wyprawy, a na widok zdrowego dziecka, wielki krzyk radości i zdumienia zaległ gospodę; cieszyli się szczęściem nieznanego im człowieka, ale cieszyli się także dla swojej wioski, że nie ustało ze śmiercią Antoniego, owo źródło cudownej niejako, a przynajmniej niezwykłej łaski Bożej.

W klasztorze, dokąd się nazajutrz udali, opowieść ich nie mniejsze sprawiła zdumienie i radość, że tajemnica psa się rozwiązała.

— Ogromnie bowiem się zdziwiłem, — rzekł brat szafarz — gdy najwierniejszy z naszych psów, przed kilku miesiącami porwał mi z przed oczów kawał chleba i zniknął z nim, jak gdyby się gdzieś zapadł. Nazajutrz wszakże pilnował mnie, gdy chleb krajałem; i z ciekawością odłożyłem sporą kromkę, którą natychmiast porwał i poleciał z nią. Na trzeci dzień, zaciekawiony, pobiegłem za nim i widziałem jak puścił się wpław przez rzekę, a później znikł gdzieś w przepaścistych skałach, gdzie ludzka stopa by się nie utrzymała. Teraz już nie wątpiłem, że pies ratuje jakiegoś nieszczęśliwego, co się nie rzadko naszym psom trafia, i codzień kawał chleba mu zostawiałem. Jeślim ja zapomniał, to on sam skomleniem o swoją porcyę się upomniał. Myślałem nieraz: dokądże tego będzie? a tu Bóg

tak cudownie za sprawą niemego zwierzęcia to dziecko utrzymywał przy życiu. Niechaj Mu będzie chwała.

— Niechaj Mu będzie chwała — powtórzyli wszyscy, bo i na inne słowa stać nikogo nie było.

Wdzięczny ojciec, tuląc do siebie odnalezione dziecko i ledwo wierząc szczęściu swojemu, chciałby był ozłocić i klasztór i wieś całą, a zwłaszcza zbawców swoich, młodych górali. Ale za pierwwszem słowem o wdzięczności i nagrodzie, starszy brat odpowiedział:

— Mój panie, Bogu dziękujcie, wszak widzicie, że to Jego sprawa, a nas, jeśli nagrodzić chcecie i serdeczną radość nam sprawić, to dajcie na Mszę św. za poczciwego ojca naszego, z jego to cnoty, wszyscy zbieramy plony.

I tak się stało. Anglik, który zamożny był a wdzięczne miał serce, hojną sypnął klasztorowi jałmużnę, na kilkadziesiąt Mszy dziękczynnych, a na rzecz proboszcza owej wioski zostawił fundusz na wieczystą Mszę św. za Antoniego i owego tułaczego wędrowca, który mu łaskę dobrych uczynków wymodlił. Owe gody Bożego Narodzenia, które już właśnie świtały, spędził wśród górali, których pokochał. Dzieciom wiejskim sprawił na Wigilię w gospodzie olbrzymią choinkę, oświeconą i obwieszoną podarkami, które synek jego swoim rówieśnikom rozdawał. Żegnano się z rozrzewnieniem, ale i później jeszcze Anglik z synem odwiedzali nieraz górską wioskę, bo pocieszony ojciec, jako ślad widoczny wdzięczności swojej, na owej stromej skale, pod którą dziecko znalazło przytułek, postawił wielki krzyż kamienny. Na cokole kazał wyryć słowa: »Błogosławcie Pana, bo dobry, bo na wieki miłosierdzie Jego« i te drugie: »Aniołom swoim rozkazał o tobie, aby cię strzegli na wszystkich drogach twoich, abyś nie obraził o kamień stopy twojej«.

Z GOSPODARSTWA.

O uprawie kapusty.

Nadszedł październik a z nim sprzęt ostatnich warzyw z ogrodów naszych. Każda roztropna gospodyni, przypatrując się owocom

swojej pracy, zastanowić się powinna, dlaczego to lub owo się udało lub nie udało. Tylko człowiek nieroztropny (lub poprostu powiedzieć głupi) mówi sobie na wiosnę: jakoś to będzie, a na jesieni składa winę na deszcz i słońce, gdy to są skutki jego lenistwa lub niezaradności. Przejeżdżając niedawno duży szmat kraju koleją i końmi, przypatrywałam się z okien wagonu temu, co jeszcze na polu stoi, i z bólem serca patrzałam na kapustę, sterczącą wśród ziemniaków lub fasoli. Czy to kapustą nazwać można, te fajtki, jak je w krakowskiem nazywają; kilka żółtych liści na wysokim kaczanie, wygląda jak straszydła na ptaki. Czy nie szkoda gruntu, zachodu, pracy, aby wychować taką kapustę, której się nieda uszatkować i zaledwie dla bydła się przyda. A przecież kapusta, zwłaszcza kiszona, to takie zdrowe i smaczne pożywienie, którego w żadnym, czy uboższym czy zamożniejszym domu brakować nie powinno.

Równocześnie widziałam w Ostrowie pod Bochnią, w Prądniku pod Krakowem tak piękną kapustę, że główki ledwie mieścić się mogły. Na krótkiej nóżce, ogromna, twarda, płaska kapusta, zdawało się, że jedna drugą wypycha, tak, że prawie między niemi miejsca na chwast nie było. Ważone we wrześniu miały po 12 funtów. Jaki powód tej różnicy? Nie tak w gruncie, bo dobrą i lichą kapustę w różnych miejscach się widzi, nie w pogodzie, która wszędzie tego roku była zmienna. Głównie w nasieniu i w uprawie, to jest w tem, co w naszej mocy jest poprawić i dla tego nad tem warto się zastanowić.

Przy każdej uprawie czy zboża, czy jarzyn, pamiętajmy, że najważniejszą jest rzeczą dobre, pewne nasienie. Nie róbcie nigdy oszczędności na niem, bo to się drogo zapłaci. Co do wszystkich jarzyn, a osobliwie kapusty, którą szczególniej na wsi się uprawia, to nie warto swego nasienia chować, chyba się wie z doświadczenia, że bardzo dobre. Nie trzeba też kupować byle gdzie nasienia, choćby nie wiem jak zachwalali, a szczególniej u żydów, którzy mają do tego upodobanie, by każdą rzecz sfałszować. Gdzież więc kupować je trzeba? spytacie. Nie brak nam teraz w kraju dobrych zakładów ogrodniczych, a przedewszystkiem, omal nie w każdej wsi są sklepiki kółek rolniczych, niechże one sprowadzają w większej ilości ze związku kółek rolniczych w Krakowie lub Lwowie i członkom swoim odprzedają. Gdyby w okolicy nie było kółka lub taki nie-

dbały przewodniczący, żeby się nie chciał postarać o nasienie, to w razie, gdyby się cała wieś zmówić chciała i większą ilość nasienia n. p. funt sprowadzić chciała, tobyście mogli napisać do administracyi »Niewiasty«, a mybyśmy sprowadzili i po cenie kupna do tej wsi posłali. Najchętniejbyśmy to zrobili dla każdego naszego czytelnika z osobna, tylko, że cena przesyłki na małej ilości byłaby prawie taka duża, jak cena nasienia. W tym roku w jednej wsi pod Krakowem tak zrobiono, nasienie wypadło tanio, a co ważniejsze, było bardzo dobre i gospodynie bardzo je sobie chwalą. (Deka kosztowało 6 centów).

Dlatego tak wczas piszemy o potrzebie dobrego nasienia, bo u nas w Polsce, czy bogatszy czy ubogi, zawsze wszystko robi zapóźno. Już teraz trzeba przygotować to, co trzeba mieć na wiosnę, tembardziej, gdybyście chcieli przez administracyę »Niewiasty« sprowadzić, to musicie między sobą się porozumieć i do nas napisać.

Jako gatunek kapusty zimowej, radzimy brunszwicką, która na niskiej nóżce tworzy wielkie, płaskie głowy. Wczesne kapusty których uprawa pod miastem bardzo się opłaca, są zwykle tak zwane świętojańskie.

O uprawie jednych i drugich w następnym numerze mówić będziemy.

Słówko o Jubileuszu Pani Konopnickiej.

W tym miesiącu obchodzić mają w Krakowie jubileusz pracy pisarskiej P. Konopnickiej, czyli pamiątkę, że 25 lat się kończy, jak piórem pracować zaczęła.

Na ten obchód spraszają także i włościan niemało, z bliższych i dalszych okolic. My jednak nie zapraszaliśmy na niego czytelniczek Niewiasty, naprzód dlatego, że wszystkie kobiety mają w domu obowiązków tyle, że biegać po takich obchodach ani mogą, ani im przystoi, powtóre sądzimy, że praca kobieca, jakabądźby była, najmilsza będzie Bogu i najpożyteczniejsza ludziom, jeżeli rozgłosu nie będzie miała, a za poklask starczy jej wdzięczność i pożytek ludzi. Że przecież dużo mówią o tym jubileuszu i do niejednej z Was dojdzie o nim wiadomość, więc chcemy, abyście i Wy wiedziały, o co chodzi.

Pan Bóg różne daje ludziom talenta, czyli dary. Otóż P. Konopnicka ma ten dar, że bardzo pięknie pisze, czy wierszem, czy zwyczajną mową, a oczywiście nauką i pracą ten swój talent osiągnęła, bo jak każda ziemia, chociażby najlepsza, potrzebuje uprawy, aby plon swój wydać, tak i każdy dar Boży pracą i nauką uprawić trzeba, aby przyniósł dobre i piękne owoce.

Pani Konopnicka nietylko ma dar pięknego pisania, ale i dobre, szlachetne serce. Kocha dużo rzeczy, kocha świat Boży i wszystko co na nim jest pięknego; kocha lud, zna jego dolę nieraz ciężką i ślicznymi, to wesołymi, to smutnymi wierszami ją opisuje; kocha kraj, kocha tych wszystkich, co cierpią, co uciśnieni są, pisze o nich z litością i współczuciem. Czegóż jej brakuje? Otóż chyba tego, że nie dość zna Pana Boga, nie dość rozumie drogi Jego Opatrzności, że czasem sarka na najświętszą Jego wolę i tem zgorszyć może tych, którymby pomódz chciała. Boć my wiemy, że bieda, choroby i cierpienia są i być muszą. Trzeba się rozumem i pracą i wzajemną miłością przeciwko nim bronić, ale buntować się na te biedy daremnie, boć tu ziemia, nie niebo. Więc, aby znosić i zrozumieć cierpienie, trzeba wierzyć mocno, że tu czas zasługi, pracy, a tam dopiero szczęścia, spokoju i zupełnej sprawiedliwości.

Za to wszystko co P. Konopnicka napisała dobrego i pięknego, za jej miłość do polskiego ludu, niech jej ten lud płaci modlitwą, aby jej Pan Bóg dał wiarę prostą, aby wierzyła, jak katechizm każe »we wszystkie prawdy, których Kościół św. naucza« a wtedy jej pięknym dziełom nic brakować nie będzie.

Radzibyśmy jaki wierszyk P. Konopnickiej wydrukować, ale, że to w naszej gazecie miejsca dużo nie mamy, więc dopiero w przyszłym numerze Wam go podamy.

Rozmaite wiadomości.

Z Kościoła — z kraju — ze świata.

W tych dniach wyjeżdżają dwie pielgrzymki z naszego kraju do Rzymu dla uczczenia Jubileuszu Ojca św.: jedna z Poznania, druga braci Rusinów. Niech jednych i drugich Bóg prowadzi, by błogosławieństwo Ojca św. utwierdziło ich w wierze dodało odwagi do pracy a szczególniej wzmocniło miłość wzajemną, bo jeśli jesteśmy jednego Ojca dziećmi, tośmy się powinni jak bracia miłować.

W listopadzie odbędzie się w Petersburgu konsekracya dwóch nowych biskupów: JE. ks. Antoniego Zdzietowieckiego na biskupa dyecezyi kujawsko-kaliskiej, JE. ks. Roopa na biskupa w Saratowie, które to miasto już w cesarstwie rosyjskiem położone.

* * *

W Częstochowie dnia 11. września wybuchły rozruchy; żydzi sprzedali przekupce beczkę śliwek, a gdy ta się przekonała, że były zgniłe i o to się upomniała, żydzi rzucili się na nią i prawie na śmierć zbili. Chrześcijanie ujęli się za nią, ale, jak się to często w takich razach zdarza, przeholowali. Nietylko wszystkie stragany zburzyli, beczki poprzewracali, ale następnie robotnicy rzucili się na wszystkie żydowskie sklepy i mieszkania i rozbijali co padło pod rękę. Rozruchy powtórzyły się wieczorem i wtenczas dopiero wystąpiło wojsko i strzelało do tłumu. Padło kilku ludzi na śmierć, kilkunastu ciężko rannych, jak zwykle w takich razach najmniej winni. Ale kto winien? Żydzi naprzód, którzy wyzyskują ludność chrześcijańską i doprowadzają ludzi do zapomnienia się, ale my szczególniej, my chrześcijanie wszystkich stanów i położeń, którzy mimo tylu nawoływań nie umiemy wziąć się za ręce, dać sobie słowo, że u żydów kupować nie będziemy, a swoich popierać całem sercem postanowimy. Gdyby zamiast rzucać się na żydów, kilkadziesiąt tysięcy robotników częstochowskich (Częstochowa i okolica ma wielkie fabryki) dali sobie słowo, że u żydów kupować nie będą i tego dotrzymali, to by sto razy większą było dla nich stratą i karą, jak te pierzyny podziurawione, które poszły z wiatrem, lub szyby potłuczone, które znowu żydowscy szklarze naprawiać będą.

Te rozruchy kosztowały życie i krew kilkunastu chrześcijan, co najmniej kilkudziesięciu spędzi miesiące i lata w więzieniu, a ich rodziny w nędzy będą. Z żydów ani jeden rany nie poniósł, a ich straty nie dorównają tym, które ponieśli ci robotnicy, którzy ranni lub uwięzieni zostali.

Pan Bóg gwałtów i zabójstw nam zakazał, ale nam wolno roztropnością bronić się przeciwko tym, którzy nam krzywdę robią.

W Wilnie odbyła się w tych czasach wystawa rolnicza, gdzie między innemi bardzo było wiele przedmiotów przemysłu domowego, t. j. rzeczy, które ludzie po wsiach zimową porą robią. Pokazało się jednak przytem, że w wielu miejscowościach pracę dają chrześcija-

nie a zysk idzie do żydów, którzy dają kapitał, t. j. pieniądze potrzebne na przybory, a potem za liche pieniądze wykupują wyroby i sami je z zyskiem sprzedają.

* * *

We Francyi rząd bezbożny prześladuje zakony i duchowieństwo, Starają się szczególniej o to, by wychowanie dzieci było bez Boga, jakie zaś skutki takie wychowanie wydało, najlepszy w tem dowód, że na stu małoletnich przestępców, skazanych za cięższe wykroczenia do domów poprawy, 98 jest ze szkół rządowych a dwóch tylko ze szkół duchownych.

W obecnym roku niema prawie dnia by gazety nie donosiły o jakich wielkich nieszczęściach, trzęsienia ziemi ciągle się powtarzają, wulkany wybuchają, lub straszne burze nawiedzają okolice. Takie wielkie nieszczęście spotkało piękną wyspę Sycylię, należącą do Włoch; przed kilku dniami, wyspę tę nawiedziła taka burza, że cały ten kraj, przedstawia dziś straszny widok spustoszenia. Olbrzymie drzewa powyrywane z korzeniami, ulice miast stoją pod wodą, a na cmentarzu pływają wypłukane z ziemi trupy. Miasto Medikę burza nawiedziła o północy, ludzie spali, aż tu w ciągu dwóch godzin, wody rzeki podniosły się wśród wichru i nawałnicy do wysokości drugiego piętra. Krzyk ludzi, ryk zwierząt, huk burzy wśród ciemnej nocy. Straszna to była chwila. Z pod gruzów i mułu, wydobyto 600 zwłok.

Wesoły kącik.

Znany Kapucyn O. Cypryan Fröhlich jechał koleją pruską w wagonie, do którego weszło kilku wysokich wojskowych. Major z uśmiechem zagadnął Kapucyna w te słowa:

— Ojcze, z czego ty właściwie żyjesz?

Zakonnik odpowiedział: Z tego samego, z czego pan major, to jest z podatków ludu, z tą tylko różnicą, że mnie dawają podatki dobrowolnie, wy zaś żyjecie z podatków przymusowych

Majorowi odechciało się dalej żartować i zamilkł.

Wydawca: **Henrykowa Dziewicka.** — Redaktor odpowiedzialny: **Katarzyna Płatek.**

W drukarni W. L. Anczyca i Spółki w Krakowie.